

Pierwsze szczęśliwe przypadki

Najbardziej trwałym wspomnieniem z pierwszych dni w CERN-ie (przyjechałem 1 stycznia 1964 roku) była niezwykła życzliwość wszystkich napotkanych tam ludzi. Może dotyczyło to tylko przybyszów zza żelaznej kurtyny, ale było naprawdę nadzwyczajne. Wszyscy starali się maksymalnie łagodzić szok, jaki przeżywałem, znalazłszy się w całkowicie nowym świecie, gdzie wszystko było inne niż w domu. Nawet mój koślawy angielski nikomu nie przeszkadzał (choć został zauważony, bo p. Fabergé, sekretarka oddziału teoretycznego, umieściła mnie w jednym biurze z rodowitym Anglikiem, „żebym nabrał oksfordzkiego akcentu”).

Zaraz po przyjeździe zgłosiłem się do profesora Léona Van Hove, który kierował oddziałem teoretycznym, i poprosiłem, żeby zechciał dać mi temat do pracy. Zaproponował uogólnienie jednej ze swoich wcześniejszych prac. I to było pierwsze wielkie szczęście, bo polecił mi zająć się tym problemem razem z jego uczniem, wtedy już profesorem w Utrechcie, który też właśnie przyjechał do CERN-u. W ten sposób poznałem Teodora Ruijgroka, nadzwyczajnego, niezwykle dobrego i sympatycznego człowieka, o wielkiej delikatności i życzliwości. Dzięki temu dostałem świetnego „tutora”, który bardzo mnie wspierał w pierwszych, niepewnych ruchach. Za jakiś czas rozwiązaliśmy problem i opublikowaliśmy pracę razem z Van Hovem. Ale najważniejsze, że zaprzyjaźniliśmy się na całe życie. Teoś był wyjątkowy, ale był tylko pierwszym spośród licznych przyjaciół, których zdobyłem w CERN-ie. Piszę o tym, aby podkreślić, że pobyt w CERN-ie dawał wielką szansę na wejście do międzynarodowej rodziny fizyków wysokich energii, nieoficjalnej wspólnoty, niezwykle zwartej, solidarnej i wspierającej w potrzebie.

Ale jeszcze wcześniej zdarzyła się historia, która – gdy o niej myślę – wygląda ciągle na nieprawdopodobną. Tego już nie można nazwać szczęściem. To był cud.

Dyrektorem CERN-u był wówczas profesor Victor Weisskopf, wybitny fizyk jądrowy z MIT, znany mi wtedy głównie z tego, że napisał powszechnie używany podręcznik fizyki jądrowej. Miał on zwyczaj zapraszania co jakiś czas, na obiad, nowo przybyłych do CERN-u ludzi.

Znalazłem się więc pewnego dnia wraz z ok. 30 osobami w małym pokoju obok stołówki (miejsce to nazywano powszechnie „boite a sardines”). Byłem przerażony i sparaliżowany. Nowa sytuacja, zupełnie nie wiem, jak się zachować, panika. Wszedł Weisskopf i wszyscy zaczęli zajmować miejsca. Ja, ciągle sparaliżowany, stałem w kącie, nie wiedząc dobrze, co ze sobą zrobić. W końcu zostało tylko miejsce przy Weisskopfie, na którym nikt nie ośmielił się usiąść. Nie umiem znaleźć słów dla opisania, jak się wtedy czułem. Po prostu coś okropnego. Przecież ja właściwie nie umiem po angielsku. O czym w ogóle rozmawiać? Będzie kompletna kompromitacja. W tej chwili wydaje mi się to śmieszne, ale byłam autentycznie przerażony. Jakoś się przemogłem i usiadłem. Nie pamiętam początku, ale pewno zapytał mnie, skąd jestem itd. I nagle przypomniałem sobie, że jakiś czas przedtem miałem w Krakowie na seminarium

referat przedstawiający jego popularnonaukowy artykuł po tytule *Mr Tompkins was wrong*, w którym omawiał nową interpretację tzw. skrócenia Lorentza. Wspomniałem mu o tym i on się po prostu rozpromienił. Opowiedział mi jeszcze raz, na czym to polega i jak to można prosto rozumieć itd. Nie musiałem nic mówić, bo on mówił cały czas! To oczywiście nie byłoby nic ważnego, gdyby nie to, że na zakończenie Weisskopf powiedział, że chciałby sfinalizować i opublikować pewien pomysł, który przyszedł mu do głowy, ale niestety obowiązki dyrektora zajmują mu tyle czasu, że nie może skończyć. I CZY JA BYM MU NIE POMÓGŁ. Boże Drogi! Oczywiście się zgodziłem, poszedłem do niego na drugi dzień, powiedział mi, o co chodzi. Był to interesujący pomysł dotyczący rozpraszania elastycznego pod dużym kątem, potraktowanego metodami fizyki statystycznej. Wszystko właściwie było gotowe, trzeba było tylko zrobić naprawdę prosty rachunek i wykonać wykres. Zrobiłem to szybko i w rezultacie moja pierwsza praca w CERN-ie była podpisana Białas & Weisskopf. Pamiętam, że nawet trochę się tego wstydziłem, bo mój wkład był naprawdę żaden, ale oczywiście nie protestowałem. Mogę sobie tylko wyobrazić, jakie wrażenie musiało to wywołać w Polsce. No bo rzeczywiście: wyjeżdża facet z dzikiego kraju i od razu pisze pracę z samym dyrektorem CERN-u!

Po paru miesiącach na dworcu w Genewie witałem żonę, której udało się uzyskać paszport po otrzymaniu odpowiednich zaproszeń z CERN-u. Zaczął się piękny okres.

Właściwie całe dni i noce spędzaliśmy w CERN-ie. Była tam stołówka, więc jadało się obiady i kolacje, dość tanio, bo dofinansowywane przez CERN. Przedłużeniem stołówki była kawiarnia, otwarta 24 godziny na dobę. Ponieważ w domu nie było nic specjalnego do roboty, więc siedzieliśmy w kawiarni, razem zresztą z innymi Polakami, którzy byli w podobnej sytuacji (a może nawet gorszej, bo większość nie miała ze sobą rodziny).

Kawiarnia CERN-owska wymaga osobnego opisu. Było to wówczas bez wątpienia najważniejsze miejsce w CERN-ie, w każdym razie na pewno dla teoretyków. Pracowaliśmy w zasadzie w biurach, ale gdy naprawdę trzeba było coś przedyskutować, szło się do kawiarni. Tam w dodatku można było spotkać wszystkie tuzy CERN-owskie. Ludzi, o których czytało się w podręcznikach, laureatów Nobla, w sumie po prostu cały wielki świat fizyki. To było naprawdę wielkie przeżycie, siedzieć przy jednym stoliku z taką sławą, która okazywała się zupełnie normalnym człowiekiem. Nie wiem, czy wszyscy tak to odczuwali, ale dla mnie w każdym razie było to prawdziwe odkrycie: ci wszyscy wielcy ludzie to nie są nadludzie, tylko sympatyczni, normalni ludzie. Nie to, że miałbym śmiałość się z nimi porównywać, ale w każdym razie przestali być niedostępnymi bogami.

Nigdzie indziej na świecie czegoś tak wspaniałego nie widziałem. Odtąd nieprzerwanie uważam, że najważniejszą częścią każdego instytutu naukowego powinna być kawiarnia. Niestety, nigdy nie udało mi się tego zobaczyć ani zrealizować w Polsce. Widocznie inny klimat.

ANDRZEJ BIAŁAS